

№ 2. Rok XVII.

Dnia 28 Grudnia 1896 (9 Stycznia 1897) r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Trzej królowie, monarchowie,
Wschodnie kraje opuszczają,

Serc ofiary, z wielą dary,
Tobie Panie oddają.

(Stara kolęda).

St. Kramsztyk.

POD ŚNIEGIEM I POD LODEM.

(Dalszy ciąg)

Chociażby wszakże śnieg słabo tylko ziemię przypruszył, już cienka ta powłoka biała wpływ dobroczynny na przechowywanie ciepła wywiera, już od zbytniego oziębienia powierzchnię ziemi strzeże. Nie wszystkie bowiem ciała jednakowo szybko stygną, nie wszystkie są w jednakiej mierze do wysyłania, do utraty ciepła uzdolnione. Zdolność zaś ta, czyli własność szybszego lub powolniejszego stygnięcia ciał od różnych zależy warunków, przedewszystkiem zaś od ich barwy.

Dwa naczynia jednakowe napełnij wodą wrzącą i jedno z nich owiń serwetą białą, drugie zaś czarnem suknem, a dostrzeżesz łatwo, że w pierwszym woda dłużej ciepłą pozostanie. Osłona biała lepiej zatem od utraty ciepła chroni, aniżeli czarna. — Nie zraziłbym się bynajmniej, gdyby mi kto zarzucił, że doświadczenie to stanowczo przekonującym nie jest, serweta bowiem jest tkaniną lnianą, sukno zaś wełnianą; być więc może, że wywiera tu wpływ nie tylko barwa, ale i sam materiał osłony. Uwaga słuszną zupełnie; owiń więc naczynie jedno suknem białym, a drugie czarnem; lub też, jeżeli takich płatków sukiennych nie posiadasz, choćby papierem białym i czarnym. Niech to jednak nie będzie lśniący, wyglądający papier czarny, jaki w sklepach kupujemy na okładki kajetów; do doświadczenia tego najlepiej będzie papier biały uczernić węglem, albo też okopcić sadzą, przesuwając go ostrożnie ponad płomieniem świecy. Jeżeli więc w ten sposób usuniemy poprzednią wątpliwość i przekonamy się znowu, że pod osłoną czarną woda gorąca rychlej zastygnie będziemy już mogli twierdzić stanowczo, że barwa czarna stygnięciu sprzyja, że ciała czarne mają w wyższej mierze, aniżeli białe, zdolność utraty, wysyłania ciepła. Dla tego to czajniki i maszyny do kawy mają powierzchnię jasną i gładką, rury u pieców powierzchnię czarną i chropawą.

Pojmujemy więc teraz, dlaczego cienka nawet powłoka śnieżna korzystną jest dla gruntu ochroną od utraty ciepła. Dzieje się to zupełnie tak samo, jak w piecach naszych, zbudowanych z białych kafli. Gdy w piecu takim napalimy i drzwiczki już zamkniemy, dosyć długo jeszcze piec pozostaje zimny, od rozżarzonych bowiem węgla albo od drzewa płonącego ogrzewa się najpierw powierzchnia wewnętrzna ścian pieca i potrzeba pewnego czasu, by ciepło przez ścianę przedrzeć się mogło aż do powierzchni zewnętrznej. Po takim zaś rozgrzaniu piec stygnie nader powolnie; ze zdumieniem dostrzegamy często, że następnego nawet po napaleniu dnia dostatecznie jeszcze jest ciepły. Dla białej bowiem swej barwy piec rozgrzany stopniowo tylko, powolnie ciepło swe traci i na pokój je rozsyła, skąd znowu grube ściany i okna podwójne niechodząc mu szybko nie pozwalają. — Jeżeli zaś idzie o ogrzanie izby, w której ludzie nie przebywają przez dzień cały, ale zbierają się w niej tylko na czas krótki, na godzinę, dla narad, na prelekcję, lub w jakimkolwiek innym celu, w takim razie korzystniejszym będzie piec żelazny; metalowa bowiem jego ściana, jako przewodnik dobry, rychło się rozgrzewa, a czarna i chropawa jej powierzchnia szybko ciepło na wszystkie strony rozsyła. Po rozpaleniu pieca izba natychmiast się rozgrzewa, ale też ledwo ognisko w nim wygaśnie, po niedługiej chwili możemy go już światło dotknąć — nie sparzy nas bynajmniej.

W piecu wytwarzamy ciepło przez spalanie węgla lub drzewa; ziemię obdarzyły ciepłem promienie, które jej słońce w ciągu lata nadsyłało. Ale śnieg działa tak samo jak białe kafle pieca. Pod białą, lśniącą jego powierzchnią nasiona przechowują swe życie bezpieczniej, aniżeli w czarnym chropawym, przez śnieg nieosłoniętym gruncie.

Skoro więc uspokoiliśmy się już dostatecznie o los ziarn w ziemi złożonych, zwróćmy się do drugiego naszego pytania,

by zbadać warunki, które mieszkańcom wód pozwalają życie utrzymać w zakrzepłych, zlodowaciałych rzekach, jeziorach i stawach. Ocalenie swe zawdzięczają mieszkańcy wód znowu pewnym objawom, pewnym niezłomnym prawom natury, które nam poznać należy.

Każdy zapewne słyszał już o tem, że pod wpływem ciepła wszelkie ciała rozszerzają się, czyli objętość swą powiększają. Gdy ciało jakiegokolwiek ogrzewamy, rozszerza się, kurczy się zaś, gdy je oziębamy. W ogólności — ze wzrostem temperatury wzrasta się objętość ciał, z obniżaniem się zaś temperatury objętość maleje. Kto o tem nie wie jeszcze, niech się przyjrzy żelazku do prasowania: Dusza, gdy jest zimna, swobodnie się w niem porusza; skoro ją rozpalimy, wypełnia całą przestrzeń.

Łatwiej wszakże przekonywa nas o tej zasadzie termometr. Znamy go wszyscy, wszyscy posiadamy go w domu. Jestto rurka wązka, u dołu zakończona kulką wydętą i napełnioną do pewnej wysokości żywym srebrem czyli rtęcią. Gdy termometr ogrzewamy nad lampką, lub gdy go w gorącą wodę zanurzamy, słupek rtęci wydłuża się, podnosi się w górę; gdy go natomiast oziębamy zimną wodą lub lodem, rtęć kurczy się, opada. Zamiast rtęci, napełniają się też niekiedy termometry zabarwionym alkoholem czyli spirytusem, a pod wpływem zmian temperatury ciecz ta tak samo rozszerza się i kurczy.

Spróbuj jednak urządzić sobie termometr wodny, co znaczy, postaraj się o rurkę szklaną, jakiej do wyrobu termometru używamy, i napełnij ją wodą. Przy ogrzewaniu i oziębianiu takiego termometru wodnego zachodzą w nim także same objawy, jak przy ogrzewaniu i oziębianiu termometru rtęciowego lub alkoholowego — słup wody podnosi się i opada. Dzieje się to wszakże tylko, dopóki woda nie jest zbyt zimną; przy dalszem jej oziębianiu uderzy nas zjawisko bardzo osobliwe.

Aby więc wodę tak bardzo oziębić, otoczmy kulkę naszego termometru bryłkami lodu, albo, co skuteczniej jeszcze działać będzie, umieśmy ją w mieszaninie oziębiającej, złożonej z lodu potłuczonego i soli kuchennej. Z początku zjawisko przebiega w sposób prawidłowy zupełnie; w miarę, jak woda się w rurze oziębia, kurczy się też, zmniejsza swą objętość, słupek jej wciąż opada. Skoro wszakże oziębienie dojdzie już do pewnego stopnia, następuje zmiana niespodziewana, — woda, chociaż zimniejszą jeszcze się staje, już się dalej nie kurczy, ale, owszem, powiększa swą objętość, słup jej wznosi się w górę, zupełnie tak, jakbyśmy jej od punktu tego już nie oziębiali, ale rozgrzewali. Z doświadczeń starannyh przekonano się zaś, że nagły ten zwrot ma miejsce wtedy, gdy temperatura wody wynosi cztery stopnie, co znaczy, gdy na termometrze rtęciowym lub alkoholowym, mającym podziałkę stustopniową, słup rtęci sięga liczby 4°

(d. n.)

KRÓL MIGDAŁOWY.

(Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia).

Pododne słońce zimowe skryło się już oddawna poza białymi szczytami pagórków, okalających malowniczym wieńcem Dobrzyniecką-Wólkę, zamożną wieś, położoną o kilka mil od Lublina. Ponad chatami rozłożonemi poniżej, wzbijały się słupy dymu, prostym swoim kierunkiem wróżące pogodę na dzień następny, a przez drobne szybki okien migotały błędne światełka, które zwolna gasły jedne za drugimi, tak, że niedługo na tle w gęstym cieniu zatopionej wioski, malował się tem wybitniej obszerny dwór szlachecki, rzucający odblask jasności na ośnieżony gościniec. A było też tam ludno i gwarno w tym dworze, do którego stojąca tuż pod ścianą wielka lipa staruszka, chyląc się pod naciskiem wstrzą-

sającego wiatru, zdawała się zaglądać pożądliwie, jak gdyby zazdrościła porozstawionym wewnątrz wazonach egzotycznym roślinom, że znalazły bliższy od niej wstęp do tego domu, który ona od lat tylu osłaniała swym cieniem. I skarżyła się na swój sposób starowina, że teraz pod białą zimową szatą stała się obojętną dla wszystkich i nie mogła powtórzyć najmłodszemu pokoleniu Dobrzynieckich, wszystkiego co wiedziała o ich naddziadach, którzy wzrastali i starzeli się pod jej osłoną. O! gdyby jej i dziś chciała posłuchać ta gromadka dzieciaków co tam wśród figlów i żartów napępiała wesołym gwarem dobrze ogrzane pokoje, jakżeby jej chętnie opowiedziała, ile to trudów ponieść musiał teraźniejszy dziedzic, ich ukochany dziadunio, pan Stanisław Dobrzyniecki, nim oczyściwszy z długów ojcowiznę, zdołał ją doprowadzić do takiego stanu, że mu wystarczała nietylko na wychowanie trzech dorodnych synów i wyprawę dla dwóch córek, które oddawała już zagospodarowane we własnych domach, lubiły też przy każdej sposobności zjeżdżać ze swemi małemi dziećmi do rodzinnego gniazda. Temiż samemi uczuciami rządzili się również dwaj synowie państwa Dobrzynieckich, oddani korzystnym zajęciom w odległych miejscowościach i tylko najstarszy z nich szczególnie ulubieniec matki i prawa ręka ojca w zabiegach około gospodarstwa, pozostawił już od lat kilku pustkę w rodzinnem kole, padłszy ofiarą panującej we wsi tyfoidalnej gorączki. Młoda jego małżonka w rok potem niespełna, spoczęła obok niego na miejscowym cmentarzu, polecając na łożu śmierci dwoje drobnych sierotek: dziesięcioletniego Bolecia i o trzy lata młodszą Ewunię staraniom ukochanych rodziców męża. Był to jeden z najstrasliwszych ciosów, jaki uderzył w szlachetne serca przeznaczonych dziedziców Dobrzynieckiej-Wólki. Przenieśli go z pokorą chrześcijańską starając się wzajemnie wzbudzać w sobie odwagę, tak potrzebną do podjęcia nowych obowiązków względem osierociałych wnucząt. To też Bóg pobłogosławił ich staraniom, dzieci chowały się zdrowo i szczęśliwie. W chwili, kiedy się rozpoczyna nasze opowiadanie, Bolek już jako uczeń drugiej klasy gimnazjum lubelskiego przywiózł na Boże Narodzenie wolną od dwójek cenzurę, a jego siostra pomimo młodego wieku zwana od całego dworu małą gospośią, była prawdziwą pociechą dla dziadka i babci, starając się uprzedzać niemal myśl każdą wycytowaną w ich oczach.

Była ona prawdziwym słoneczkiem dla całej Dobrzynieckiej-Wólki, a ilekroć ukazała się przy boku ukochanej babci, zdawała się ją ożywiać i odmładzać. Teraz szczególnie, kiedy tylu miłych gości zjechało do domu, przyjemna wesołość, dobroć i usługowość Ewuni wydatniała się jeszcze więcej w tysiącnych drobnych przysługach oddawanych starszym i młodszym krewnym. Nie też dziwnego, że czas ułatywał na skrzydłach dla wszystkich osób zebranych pod tym gościnnym dachem, unosząc niepostrzeżenie dzień za dniem i że już dziś starzy i młodzi spoglądając na wielkie głoski: G+M+B nakreślone świeconą kredą nad drzwiami, przypominali sobie z westchnieniem, że już wkrótce przyjdzie im pożegnać najukochańszych gospodarzy, ażeby znów bardzo długo tęsknić za nimi.

Myśl ta zdawała się szczególnie przytłaczać duszę Bolecia, który i bez tego od chwili swego przyjazdu pozostawał w dziwnie poważnem usposobieniu i pomimo ogólnych pieszczot i hojnych podarunków gwiazdkowych, nie mógł się dostrzec do swobodnej wesołości swych młodziutkich kuzynów i kuzynek.

Ale w świętą uroczystość Trzech Króli nie było miejsca na posępne myśli we dworze państwa Dobrzynieckich, bo w tym dniu właśnie przy obfitej wieczery, jaką miało podzielać kilka osób zaproszonych z sąsiedztwa, miano podać na stół ów tradycyjny placek z jednym migdałem, który miał uczynić królem jednego ze współbiesiadników.

W stołowym pokoju krzątał się już stary Jacenty około pięknych nakryć z saskiej porcelany i ciężkich sreber, co wycierane od lat tylu jego skrzętnymi rękami w niezem dotąd nie straciły dawnej wartości. Ręce staruszka drżały

i byłby z pewnością znów się naraził na gniew niecierpliwego Dymińskiego, gdyby mała Ewunia nie pospieszyła mu z pomocą. Młoda gospośia podawała tak zręcznie i żwawo połyskujące łyżki, widelce i noże, że w chwili kiedy ostatnie sanki przywożące gości zadzwoniły przed gankiem wszystko już znajdowało się na właściwem miejscu.

W pół godziny potem ogromny pajak kryształowy zawieszony u sufitu, rzucał jasne światło na twarze wesołych gości, którzy para za parą przesuwały się przez otwarte debowe podwoje, zabierali miejsce u stołu.

W boryny humor ożywił całe towarzystwo, a wracające ze stołu próżne półmiski, świadczyły, że i apetyt niemniej też musiał dopisywać wszystkim. Tylko dziatwa siedząca dotąd bardzo skromnie i cicho obok starszych zaczęła się trochę niecierpliwie, rzucając co chwila niespokojne spojrzenia ku drzwiom, w których ukazywali się i znikali służący z półmiskami.

Nakoniec, ku wielkiemu ich rozradowaniu, wszelkie znaczniejsze nakrycia zniknęły ze stołu, ustępując miejsca małym talerzykom deserowym, a drzwi roztwierając się raz jeszcze przypuściły naprzód babcię z nieodstępą Ewunią przy boku, a następnie Jacenta, niosącego na tacy ogromny placek pokrajany na ilość kawalców odpowiadającą liczbie zebranych osób. Wonne cząstki pięknego ciasta w jednej chwili rozleciały się pomiędzy biesiadnikami, którzy zaczęli jednocześnie poszukiwać ukrytego migdała.

— Babuniu! ja go znalazłem — zawołał z dziwnem rozradowaniem Bolek, podając rozłamany kawałek pani Dobrzynieckiej — ach, jak to doskonałe, jak wybornie się przytrafiło.

— A to dopiero ambitny kawaler! — zauważył któryś z gości.

— Prawda! — poświadczył pan domu — jesteś zatem królem. Gdyby ten los spotkał kogoś starszego przy tym stole miałby prawo wszystkim nam rozkazywać, ale taki młody królik jak ty, mój Boleku, może tylko wyrazić jedno ze swych najgorętszych życzeń. Wymów je więc śmiało, ale po namyśle, gdyż królowi migdałowemu nie można niczego odmówić.

— Czy tak dziaduniu? A więc skorzystam z tego przywileju, oświadczając, że życzenie moje pozostanie tylko pomiędzy nami dwoma. Wszakże będąc królem nie potrzebuję się jaśniej tłumaczyć.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się z zaciekawieniem na zarumienioną twarz chłopca, który pocałowawszy dziadka w rękę wrócił na dawne miejsce.

Stanowcze jego oświadczenie, wywołało u starszych mnóstwo żareków, ze strony zaś kuzynków i kuzynek, prawdziwy grad zapytań, któremu zaledwie zdołał się obronić, sama nawet Ewunia nie przestawała go niemi zarzucać i dlatego odetchnął dopiero swobodnie, kiedy po rozjechaniu się gości, kazano dzieciom udać się na spoczynek, a pan Dobrzyniecki zawołał go do swego pokoju.

— No, mój mały królu — zagadnął go na wstępie — spodziewam się, że teraz już zechcesz mi objawić swoje życzenie.

— O! tak dziaduniu! ale proszę cię naprzód żebyś się nie rozgniewał. Oto ja pragnąłbym koniecznie przed odjazdem do Lublina mieć dwadzieścia pięć rubli...

— Dwadzieścia pięć rubli! — powtórzył z niezadowoleniem pan Dobrzyniecki — a tobie na co tyle pieniędzy?

— Nie potrzebuję ich dla siebie, chociaż teraz dopiero nauczyłem się naprawdę oceniać wartość pieniędzy, gdy wprzód miały one dla mnie prawie toż samo znaczenie co dla mojej małej ciotecznej siostrzyczki Zosi, to jest papierka czy blaszki za jakie kupić można zabawkę, lub cukierek.

— Bardzo dobrze, ale dotąd jeszcze nie mogę zrozumieć twojego żądania!

— O! zrozumiesz go natychmiast dziaduniu! zechciej tylko posłuchać mnie cierpliwie. Nie wiem, czy przypominasz sobie Ignasia Przygodzkiego. Jestto mój serdeczny przyjaciel, a zarazem najzdolniejszy uczeń w naszej klasie,

posiadający przytem usposobienie tak otwarte i wesołe, że już przez to samo zyskał sobie ogólną życzliwość. Otóż od pewnego czasu, nietylko ja, ale i inni koledzy zaczęli dostrzegać jakąś zmianę w jego humorze. Pytaliśmy go po kilka razy, ale zbył nas zrećnię żarcikami i byłbym się o niej może nigdy nie dowiedział, gdyby nie okoliczność jaka zaszła w dniu kiedy nam rozdano cenzury. Moja także nie należała do najgorszych. Wracałem więc pełen radości do domu profesora Tabełskiego, pewny już, że najdalej nazajutrz przyjedzie ktoś po mnie z Dobrzynieckiej-Wólki, kiedy najnie spodziewaniej spotkałem się z panną Jadwigą, starszą siostrą Ignasia. Była ona tak smutna i pomieszana, że zaledwie skinieniem głowy odpowiedziała na moje uprzejme powitanie.



Collin biegł za nim czas jakiś...

Zdawało mi się nawet, że miała oczy zaczerwienione od płaczu. Widok ten boleśnie ścisnął mi serce, lecz cała tajemnica wydała się dopiero w czasie obiadu. Wtedy bowiem pani profesorowa przy nas wszystkich zapytała męża, czy nie wie dotąd nic pomyślnego o interesie Ignasia Przygodzkiego.

— Nie, moja droga! — odpowiedział tenże krótko — wszakże mówiłem ci odrazu, że na drugie półrocze szkolne bardzo jest trudno o stypendyum.

— Ach! mój Boże! — wyrzekała zacna pani profesorowa — a cóż ja powiem jego siostrze? Dziś jeszcze była u mnie, żaląc się na smutne położenie w jakie popadli w skutek długiej choroby matki, której przy tak szczupłej emeryturze ciężko jest i bez nadzwyczajnych wypadków dom utrzymać.

— Poradź jej, żeby sprzedała maszynę do szycia, a będzie miała czem opłacić wpis za brata.

— Byłaby to nieszczęśliwa rada, bo ta maszyna stanowi dla biednej dziewczyny znaczne ułatwienie w szyciu sukien, które dostarcza jej środków do zachowania rodziny od ostatniej nędzy. Biedna Jadwinia! ileż musiałaby nadłożyć czasu i pracy szyjąc po dawnemu ręcznie.

— Nie znam się na tem — odrzekł Tabełski, smutnie spuszczać oczy. Ale cóż począć nie będąc bogatym, nie mogę na to znaleźć innej rady. Zresztą trzeba mieć chyba skarbiec królewski, ażeby dostarczyć pieniędzy tym wszystkim, co ich potrzebują.

Pani profesorowa westchnęła ciężko, a i mnie naraz opanował taki smutek, że chociaż byłem głodny, odeszła mnie chęć do jedzenia. W głowie mojej powstało jakieś szczególne zamieszanie. Ach! te pieniądze. Wszakże i ja słyszałem nieraz od starszych, że nie są one celem, ale środkiem do życia. A jednak, jakże ciężko przychodzą tym, co na nie sami muszą zapracować. Bez pieniędzy ta pocziwa panna Jadwiga nie będzie mogła dać dostatecznych wygód schorzałej matce, a biedny Ignas może zostać pozbawionym dalszych nauk, do których ma tyle zdolności i chęci. O! i dobra pani profesorowa cierpi teraz nie mało nad tem, że im nie będzie mogła dopomóc. Więc to aż tyle jest biednych, że trzeba mieć skarbiec królewski, ażeby ich wesprzeć. O! jakże pragnąłbym kiedyś zostać takim możliwym, bogatym królem.. Ale widziałem naprzód, że to próżne marzenia, w duszy więc tylko westchnąłem do Boga, żeby mi dał zostać kiedyś użytecznym człowiekiem. Mimo to myśl o nieszczęściu Ignasia i jego rodziny nie opuszczała mnie wcale, nie pozwalając swobodnie korzystać ze wszystkich rozkoszy jakie mnie tutaj oczekiwały, kiedy wtem dziś najnie spodziewaniej...

— Los uczynił cię królem migdałowym, a twego dziadka ministrem skarbu, który się postara według możliwości zadowolić przynajmniej twoje pierwsze żądanie! — przerwał pan Dobrzyniecki, przyciągając do siebie wzruszonego chłopca.

— O dziaduniu! — zawołał drżącym głosem Bolcio — w takim razie będę cię jeszcze prosił, żebyś dołączył do żądanych obecnie pieniędzy, moje własne pięć rubli, podarowane od stryjaszka, na kupienie łyżw amerykańskich.

— Stanie się i w tem zadość życzeniom waszej królewskiej mości! — żartował zacny starzec, całując w czoło wnuka — a do tego, ani słówka wobec drugich, wszak to sekret między nami! Ale teraz, drogi mój Bolciu, idź już pomodlić się do Boga, ażeby zawsze wiódł kroki twoje do poznania dróg swoich, tak jak niegdyś prowadził świętych trzech mędrców, do szopy gdzie się narodził Zbawiciel świata, a potem udaj się na spoczynek. Życzę ci z całego serca dobrej nocy!

Że tę noc Bolcio musiał przepędzić bardzo dobrze, o tem nazajutrz mogli się przekonać wszyscy, po czerstwym rumieńcu zdrowia, jaki ozdabiał jego pocziwą twarzyczkę i pogodnej wesołości, którą przewyższał od tego czasu, całe gwarne grono kuzynów i kuzynek. Wesołość ta przebiła się nawet przez łyż, jakimi żegnał ukochaną Ewunię i błogosławiącą go babkę w chwili odjazdu z panem Dobrzynieckim do Lublina.

— Ciekawa gromadka małoletnich gości mimo przeróżnych zabiegów, nie dowiedziała się nigdy o życzeniu Bolcia i szczęśliwych jej następstwach, ale co najważniejsza, nie dowiedziała się o nich i pani Przygodzka, która w samą porę otrzymała kopertę zawierającą kwit zapłaty szkolnej za Ignasia, wraz z sumą dwa razy większą od tej, jakiej żądał Boles od dziadka.

Jednocześnie prawie coraz to więcej zamożnych pań z okolicy, zaczęło się pojawiać w pracowni panny Jadwigi, tak że wkrótce zamiast sprzedać własną swą maszynę, musiała wziąć drugą w miejscowym składzie, a zarazem sprowadzić z Warszawy biegłą krojczynię do pomocy.

Zakład ten przeniesiony obecnie na jedną z najpiękniejszych ulic Lublina, daje swej właścicielce obfite zyski, Ignas kończący gimnazjum, utrzymuje się już prawie sam dawaaniem korepetycji, a jego matka i siostra w każdą niedzielę

i święto, w dawnym po Kapucyńskim kościele, dziękując Bogu za swoje szczęście, nie domyślają się nawet, że jego pomocą, został z Jego woli, mały król migdałowy z Dobrzynieckiej-Wólki.

E. L.

Pałac Seldżuków.

Wspaniałe zwaliska, wśród których dotąd jeszcze zachowały się wieżyce, bramy murów obronnych, pozostały

Gordon Stables.

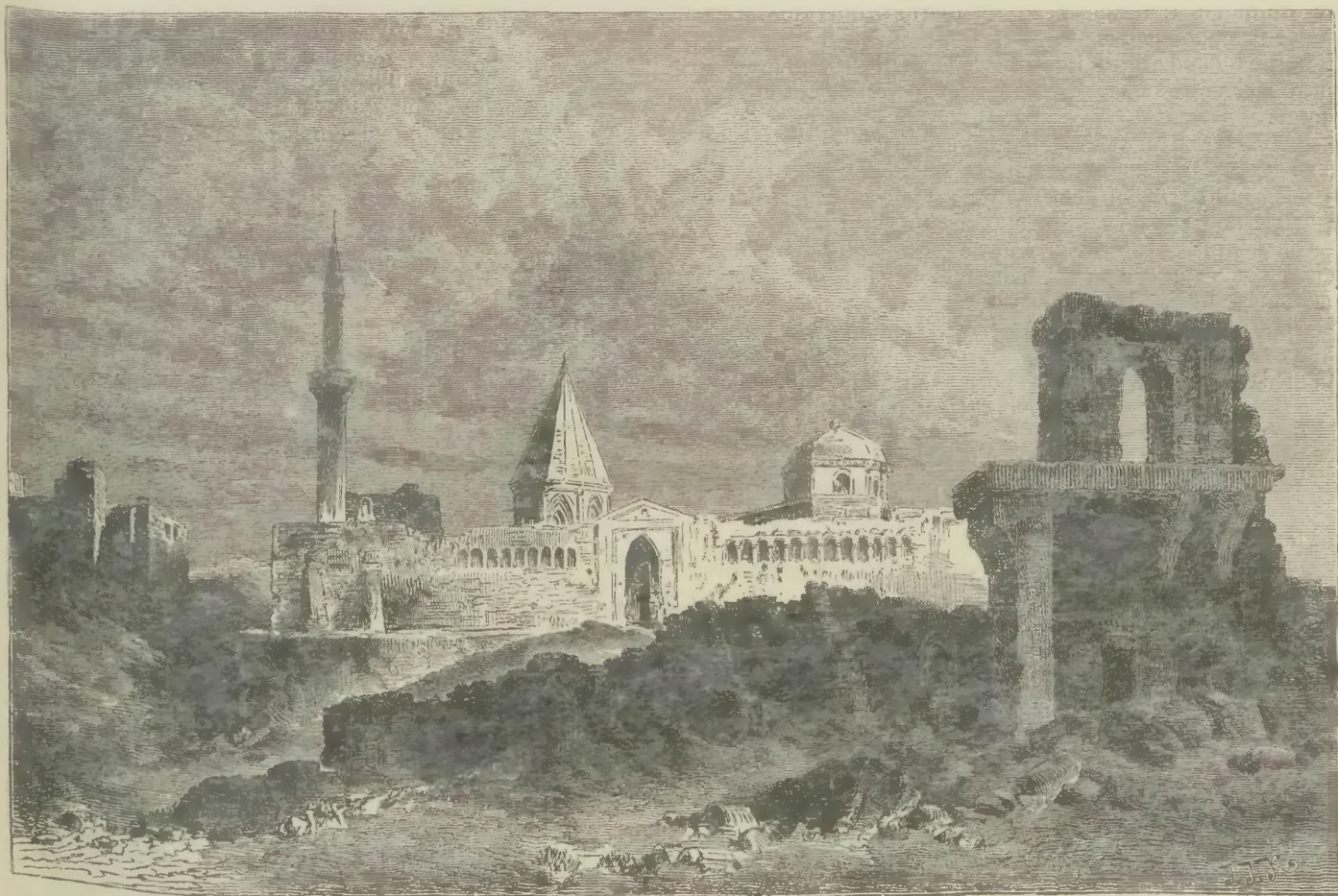
WYPRAWA DO GRENLANDYI

¹
bieguna północnego,

przekład K. P.

(Dalszy ciąg).

— Przyjechałem z Ligurdem do Aberdeen, aby zwiedzić miasto; on pojechał dalej, a ja zostałem na parę dni. Wieczorem, nie mając nic do roboty, poszedłem na pagórek, aby



Pałac Seldżuków.

w mieście Konia, jako jedyna pamiątka bogactwa i potęgi Seldżuków, możnego pokolenia tureckiego w Bucharyi, które w XI i XII-tym wieku założyło kilka sławnych dynastyi, panujących w Mezopotamii, Persyi, Syryi i Azji Mniejszej.

Dziś jedynym śladem przejścia po ziemi Seldżuków, są owe malownicze zwaliska, przedstawione wiernie na naszej rycinie. Miasto Konia jednakże, pomimo utraty dawnego znaczenia, nie przestaje być jednym z najważniejszych punktów handlowych w środku Azji Mniejszej.

zrobić parę obserwacyi księżycowych, kiedy nagle napadło na mnie dwóch ludzi, zabrali pieniądze i pamiątkowy zegarek po ojcu i uszli. O pieniądze mniejsza, ale zegarka mi szkoda, bo ojciec przez wiele lat go nosił i bardzo lubił.

— Należy zawiadomić policję.

— Już Collin to dawno uczynił. Nie wiem tylko, czy się uda go odnaleźć.

W parę dni później wezwano Olafa do cyrkułu. Za stołem siedział wygolony urzędnik w okularach, który go zapytał:

— Pan jest Olaf Ranna?

— Tak jest. Czego pan odemnie żąda?

— Chciałem zwrócić zegarek, który panu skradziono przed kilku tygodniami.

— Mój własny zegarek! Czem się mam panu wywdzięczyć?

— Słuchając dobrej rady. Jeżeli się kiedykolwiek wy-

bierzesz na obserwacje gwiazd, to nie kładź złotego zegarka do kieszeni.

Zanim się Olaf udał do Glen Moira, zajechał do Iverness, gdzie go matka przyjęła ze łzami w oczach. Biedaczka całem sercem pragnęła być przy synu, ale choroba ojca, starszka zupełnie osamotnionego, przyknała ją do domu. Teraz, słuchając opowiadań Olafa, nie wiedziała, jak wyrazić wdzięczność pani Jackson i Collinowi za ich troskliwą opiekę i bez wahania pozwoliła mu odwiedzić przyjaciela.

Tymczasem Collin przygotowywał się na przyjęcie Olafa; wyszukał mu konia, strzelbę, wędkę, wiosło, aby mógł z nim dzielić wszelkie zabawy.

Stary pan Mac Ivor, zajęty gospodarstwem, nie miał czasu myśleć o chłopcach i zostawiał im zupełną swobodę. Po całych dniach pływali łodziami, jeździli konno, a wieczorem wracali do domu tak zmęczeni, że nieraz zdarzało im się zdrzemnąć przy kolacyi.

Zima nadchodziła, dni stawały się coraz krótsze, w powietrzu przelatywał śnieg. Pewnego razu Olaf rzekł, patrząc przez okno:

— U nas w Norwegii już wszyscy jeżdżą na „skich” a tu czy zimą śnieg pokrywa ziemię?

— Za jaki tydzień będziemy go mieć więcej, niż potrzeba. Ale powiedz mi, co to są „ski” (wymawiaj sz).

— Ski, to są długie łyżwy nowegskie, których się używa do chodzenia po śniegu. Chciałbym je właśnie zrobić, czy masz suche drzewo i narzędzia stolarskie?

— Naturalnie, chodź do stolarni, to ci dam wszystko, czego będziesz potrzebował.

Olaf wziął się szczerze do roboty, Collin mu dopomagał, i tegoż jeszcze wieczoru dwie pary skich pokazano staremu panu Mac Ivor, który zapewniał, że jego z pewnością nikt na nich jeździć nie nauczy.

Przez kilka dni chłopcy daremnie rozglądali się po niebie; nigdzie nie było widać śnieżnej chmury, nareszcie pewnego rana budząc się ujrzeli niezwykle białe światło, wpadające przez okna. Był to śnieg, który grubą warstwą pokrywał ziemię i nieprzestawał padać wielkimi płatkami.

— Dalej na podwórze! — zawołał Olaf, chwytając swoje ski; w jednej chwili je nałożył, i pędził w prostej linii przed siebie. Collin biegł za nim czas jakiś, a gdy go stracił z oczu, szedł śladem. Lecząc na brzegu stromej jaru ślad zniknął; czyby Olaf przeskoczył na drugą stronę? Collin wiedział, że norwegscy łyżwiarze nieraz to czynią, ale tu jar był zbyt szeroki. Musiał mu wydarzyć się wypadek; zapewne spadł z wysokiego brzegu i utonął w śniegu miękkim jak puch. Collin zeszedł ostrożnie na dół i nie ujrzał nic innego, jak dwa wąskie kawałki drzewa, sterczące nad śniegiem. Z łatwością poznał końce skich i zaczął grzebać z całej siły i niebawem wydobył Olafa, którego upadek trochę ogłuszył, ale niedługo przyszedł do siebie, i wydobywszy się na równą drogę nie tylko nie zrzucił swoich łyżew, ale namówił Collina żeby mu towarzyszył.

Collin z ochotą nałożył ski, ale o dziwo! rzecz na pozór tak łatwa i prosta jak ślizganie się po śniegu, wydała mu się teraz wprost niemożliwą. Zaczepiał jednym ski o drugi, tonął po kolana w śniegu a nawet raz wywinął młynka i zapadł tak głęboko, że mu zaledwie końce butów wystawały. Po dwóch godzinach, dzięki wielkiej pracy i wskazówkom Olafa, był w stanie przejść kawałek, ale go to tak zmęczyło, że ledwie się dowlóknął do domu, a nazajutrz rano był jakby zbity. Olaf mu poradził, żeby wybił klin klinem i szedł znowu się ślizgać. To istotnie pomogło i tego dnia jeszcze a później dni następnych Collin zrobił tak znaczne postępy, że mógł dotrzymać placu przyjacielowi.

II.

NA ŚNIEŻNYCH GÓRACH GRENLANDYI.

— Czegobym się chciał doczekać — rzekł kapitan Reynolds, uderzając pięścią o stół — czegobym się chciał doczekać, to powrotu do domu ze statkiem tak pełnym, żeby nareszcie moi chlebodawcy byli zadowoleni.

To mówiąc, spojrzął dokoła i ciągnął dalej:

— Żeby się skóry nie mieściły pod pomostem, i na pokładzie tworzyły wzgórek do pół wysokości wielkiego masztu.

— Brawo! kapitanie Reynolds! — zawołał Rudland Syme, młody doktor, uśmiechając się nieznacznie.

— Niech pan sobie ze mnie nie żartuje, zobaczy pan, że mi się to uda. Idzie tylko o to, aby uprzedzić inne statki i wypłynąć na jaki tydzień przed niemi. „Co ten stary Reynolds sobie myśli”, będą pytali wszyscy kapitanowie, a ja ci chutko dopłynę do Bressa-Sonud, wybiorę najlepszych ludzi i dalej do Grenlandyi. Okręty parowe nie nie wskórają, bo trzeba widzieć mego „Speedy” (szybki) przy pomyślnym wietrze! Tak mknie jak najlepszy statek pocztowy. Będziemy płynęli ciągle na północno zachód, aż pewnego dnia chłopak na bocianiem gnieździe zawoła: „Foki przed nami, morze aż czarne od nich!” Wtedy będziemy im towarzyszyli i poczekamy aż małe urosną tyle, że będą przydatne na skóry a wtedy zobaczycie!

Collin i Olaf byli wtedy w gospodzie marynarzy i przysłuchiwali się z niewymownem zajęciem ich rozmowom, aż nareszcie Collin nie mógł usiedzieć na miejscu, podszedł do kapitana Reynolds i rzekł:

— Niech nas pan weźmie ze sobą, doprawdy, że będziemy panu użyteczni, umiemy dobrze strzelać, jeździmy wcale nieźle na skich i znamy manewr okrętowy, niech nas pan weźmie do jakiegokolwiek pracy, bylebyśmy mogli popłynąć na „Speedy”.

— I owszem, moje chłopaki, jeżeli tylko wasi rodzice i opiekunowie nie będą mieli nic przeciw temu; ja właśnie potrzebuję młodych i odważnych ludzi.

— Ani moja matka — rzekł Olaf — ani stryj Collina, nie zabronią nam, nieraz mówiliśmy z nimi o tem, że chcielibyśmy wziąć udział w wyprawie podbiegunowej, i oboje zgodzili się.

— A więc dobrze, przyjmuję was jako chłopców okrętowych, bo nam nie wolno wozić pasażerów i wyznacze wam zajęcie; uprzedzam tylko, że za jaki tydzień wyruszamy.

— Ja mam prośbę do pana — rzekł Olaf. — Czy nie mógłby pan dać u siebie miejsca mojemu opiekunowi? Jestto bardzo wyborny marynarz, nazwiskiem Sigurd.

— Sigurd, Sigurd, pamiętam, że dawniej znałem Sigurda na „Vikingu” pod kapitanem Ranną. Czyżby to był ten sam?

— Tak panie. Ja jestem synem kapitana Ranny.

— Dzielnego miałeś ojca, mój chłopcze. Na północy wszyscy go szanowali i zasięgali jego rady; pamiętam, że kiedy zginął, nie było marynarza, któryby go nie żałował. Nie dziwię się, że będąc synem takiego ojca, wyrastasz na tegoż człowieka. A co się tyczy Sigurda, to go z największą ochotą przyjmę i dam mu miejsce starszego oficera, bo za dawnych czasów był prawą ręką kapitana Ranny, więc musi być wiele wart.

— O tak, to jest człowiek niezwyklej energii i prawości; dla tego też mama lubi żeby był ze mną, i teraz ucieszy się gdy się dawie, że Sigurd i ja idziemy pod komendę pana.

— A więc dobrze, więc umówiliśmy się, a za tydzień proszę się stawić do Peterhead, bo „Speedy” czekać nie będzie.

Kapitan Reynolds dotrzymał słowa, jeszcze żaden okręt nie wyszedł z doków, gdzie je zwykle naprawiają, a „Speedy” stał już na kotwicy, czekając tylko hasła wyjazdu. Wiatr dał bardzo silny z południa i kapitan postanowił z niego skorzystać, więc nie zważając na dosyć rozkołysane morze, wypłynął z portu żegnany przez tłum krewnych i przyjaciół, odprowadzających marynarzy.

W Bressa-Sound na wyspach Szetlandzkich nie zastali żadnego okrętu i kapitan mógł sobie wybrać najślawniejszych poławiaczy fok, to też uśmiech nie schodził mu z twarzy i przyswistywał sobie wesoło.

W Lerwick zaopatrzono się w ciepłe ubranie, futra, buty i rękawice, bez których niepodobna płynąć na ocean Lodowaty, „Speedy” podniósł kotwicę i oddalił się tak szybko,

ze, gdy po krótkim dniu nastąpił wieczór, łódź rysowała się tylko jak czarna smuga na horyzoncie.

Zapadła noc ciemna, o piątej po południu już nie było widać, gdyż minęło zaledwie porównanie dnia z nocą, a w okolicach tak daleko wysuniętych na północ, o wiele krócej świeci.

— Weześnie się ściemniło, chłopcy? — rzekł kapitan Raynolds, gdy Collin i Olaf zeszli do salonu — i do tego nie mamy księżycy, musimy płynąć na oślep.

— Czy w tych stronach niema skał podmorskich?

— Na szczęście, nie. Wiatr mamy pomyślny, morze wolne; wyprzedzimy inne statki przynajmniej o tydzień. Nieprawdaż Joe?

Joe, czyli Józef Barry był oficerem i przez sześć lat, to jest od chwili gdy kapitan Raynolds objął dowództwo nad „Speedy”, nie opuścił ani jednej wyprawy i niezmiernie się przywiązał do wesołego kapitana.

— Tak — rzekł Joe — wypada, żebyśmy wrócili z pełnym ładunkiem, a ponieważ wypada więc tak będzie, to mówiąc ułożył sobie fajkę piankową i spokojnie palił.

— Będziemy mieli sporo roboty — rzekł Raynolds — ale tymczasem żebyśmy nie zardzewieli w bezczynności i żeby się nam nie przykrzyło, musimy sobie wynaleźć jakieś zajęcie. Chłopcy, cóż wy na to?

— Myśmy właśnie mieli prosić pana, aby nam było wolno trzymać straż razem z oficerami.

— Dobrze — rzekł Joe — niech Olaf należy do straży Sigurda, a Collin będzie ze mną.

Może który z moich czytelników zechce się wybrać do Grenlandyi, niech posłucha tego, co mu powiem:

Bez najmniejszej wątpliwości widok gór lodowych i śnieżnych pól w świetle północnego słońca albo zorzy, nie da się z niczem porównać; jest pewien tajemniczy czar w tych bezbrzeżnych przestrzeniach lodu, w tem mrocznem, i chwilami jaskrawem świetle, który działa na ludzi tak, że się stają bardziej skupieni i zamknięci w sobie. Ale są inne względy, które spowodowują, że wyprawa do Grenlandyi jest dostępna tylko dla ludzi niezwykle silnych i wytrwałych. Nie mówię tu o wycieczkach parowcami do Reykiawick, bo te się odbywają w porze letniej, i trwają po parę tygodni, nie narażając podróżnego na najmniejsze niewygody. Dopiero prawdziwy Granlandczyk, t. j. łowca fok albo wielorybów, wie co to trud.

(d. c. n.)

MARYA ŁOPUSZAŃSKA.

NA PUSTYNI.

(Dalszy ciąg).

— Ot i dwór! — ozwał się wreszcie woźnica, wskazując biczyskiem na dość obszerny budynek, położony na wzgórzu.

Jance serce zabiło mocno; jak też zostanie przyjętą, i jakim będzie jej życie w tem nowem otoczeniu?

Zajechali przed ganek, z którego najpierw wybiegło kilka psów rozmaitego gatunku i wielkości i poczęły szczeleć zajądło, następnie wyszedł chłopak wiejski, widocznie służący i zabrał rzeczy Janki, gdy ta wysiadła.

W sieni czekała na nią osoba niemłoda, ubrana w nocny czepki i kaftanik, z lampą w ręku. Janka domyśliła się w niej ciotki, bo te kilkanaście lat niewidzenia zmieniły ją bardzo.

— Jakże można robić takie niespodzianki! — ozwała się zaraz na wstępie, całując Janke zmieszana. Wczoraj

mąż mój jeździł sam na kolej po ciebie, aleś nie przyjechała, więc dziś nie posyłano wcale koni, bo u nas teraz robota, wszyscy ludzie zajęci, nie można ich odrywać.

Mówiąc to, ścisnęła i całowała Janke, która nie wiedziała sama, co ma odpowiedzieć na takie powitanie. Była też wprawdzie bardzo senna, wypila prędko herbatę w wielkiej jadalni, w której stały po kątach porozkładane suszące się nasiona, i została odprowadzoną do pokoiku na górze, gdzie natychmiast prawie usnęła.

Nazajutrz obudziła się dość późno i usłyszała gruchanie gołębi na dachu, z dołu zaś dolatywały ją różne odgłosy gospodarskie. Po chwili rozległ się donośny głos ciotki, wołającej na służącą:

— Paraszka, czemuś nie zaniosła mleka do piwnicy? A to dopiero próżniak dziewczyna! Cały dzień nad nią stać trzeba, inaczej nie nie zrobi!

Na Janke niemile wrażenie zrobił głos ten gderliwy; pomyślała sobie, że ludzie na wsi strasznie ordynarnieją, bo przecież ciocia dawniej taką nie była — Chciała wstawać, ale służąca się nie ukazywała dotąd, a dzwonka nigdzie nie było. Wreszcie weszła prosta, wiejska dziewczyna w czystej, grubej koszuli i dosyć jeszcze niezgrabna, śnać niedawno wzięta do dworu. Poczęła usługiwać Jance, dziwując się, że paniuś ma takie małe nóżki „jak u laleczki”. Ta, ubrawszy się, zapytała, czy już można iść na herbatę.

— O, u nas już dawno wszyscy po herbacie, pan z paniczem pojechali w pole, tylko dla paniuś samowar stoi, a ja już dwa razy węgla dokładałam, żeby nie ostygł.

Janka podziękowała jej za pamięć i zeszła na dół. Jadalnia w dzień wydała jej się jeszcze prostszą, niż wieczorem, wielki stół, ciągnący się wzdłuż całego pokoju, nie był nawet politurowany, krzesła także miały najprostszą, jaka tylko być może formę. Wszystko to raziło smuk estetyczny Janki, zwłaszcza, że i ciotka ukazała się w starej, domowej sukni wprawdzie czystej ale bardzo niemodnej i ponaprawianej tu i owdzie.

— Jakże tam, wypałaś się? — zapytała, całując siostrzenicę w czoło. Bardzo cię podróż zmęczyła? Bledziutko jakos wyglądasz... A ja już od piątej na nogach; u nas tu ciągle krętanina, ani chwili niema odetchnienia.

Janka zwróciła teraz uwagę, że ciotka miała mocno ogorzałą twarz i ręce, głos także jakby schrypnięty nieco, znać od ciągłego wołania na służące.

Pani Wilczewska posiedziała jeszcze trochę, wypytując siostrzenicę o krewnych, których dawno nie widziała, bo- wiem od czasu swego zamążpójścia raz tylko przyjeżdżała do Warszawy.

— Mój Boże, musieli się postarzeć wszyscy — mówiła — jakże się ma mój brat Feliks?

— Wuj Feliks doskonale wygląda i ciocię kazał uściśkać — odpowiedziała Janka — bardzoby pragnął ciocię zobaczyć, ale mu zajęcia nie pozwalają na tak daleką podróż.

— Poczeiwy Feliks, jakżebyś chciała z nim się widzieć — rzekła ciotka wzruszona, ale w tejże chwili, spojrzawszy w okno, krzyknęła:

— A to skaranie Boże z tymi ludźmi, znów mi cieleśta do ogrodu wpuścili. Pietrek, mazgaju jeden, biegnij, wypędź, bo mi sałatę zjedzą!

To mówiąc, pani Wilczewska sama wybiegła i po niej- jakim czasie znów rozległ się na podwórzu jej głos gderliwy, robiący wymówki dziewczkom za to, że kuroni jeść nie dały.

— O, Boże, gdzież ja się tutaj dostałam? — pomyślała biedna Janka, nieprzyzwyczajona do podobnych scen gospodarskich. Nie, nie, wuj nie będzie tyle okrutnym, żeby mi tu kazać siedzieć pół roku. Napiszę do niego, że nie wytrzymam długo, że się rozchoruję...

W tej chwili drzwi się otwarły, i z poza nich wyjrzała głowa chłopca, okryta bujnemi włosami w nieładzie. Zają- rzał do sali, a spostrzegłszy Janke, natychmiast zabrał się do ucieczki. Dziewczę domyśliło się tylko, że to był jeden z młodszych jej kuzynków, których było sześciu. Dopiero

przy obiedzie ujrzała całą rodzinę, bo zaledwie przed obiadem pan Wilczewski powracał z pola, dokąd mu towarzyszył starszy, dziewiętnastoletni syn, Wladek, który po ukończeniu szkół pomagał ojcu w gospodarstwie. Sam pan Wilczewski był człowiekiem małowimnym i wiecznie chmurnym, jak gdyby troski gospodarskie ani chwili nie dawały mu pokoju. Zaledwie się przywitał z Janką, natychmiast zasiadł do obiadu, jedząc szybko i w milczeniu.

Wladek, silny, baczysty, ogorzały przywitał się dość niezgrabnie, poczem usiadł, przez cały czas nie podnosząc prawie głowy i nie spojrzawszy na nikogo. Janka, przywykła do uprzejmej i łatwej w obejściu młodzieży, która jeszcze na ławie szkolnej będąc, umie już prowadzić dowcipną, swiatową rozmowę, patrzyła na swego kuzyna jak na dzikiego i skrzywiła usta pogardliwie ujrawszy jego ręce opalone, widocznie nieznające się z rękawiczkami. Młodzi kuzynkowie mieli pozór jeszcze dziksz, każdy z nich nietylko był ogorzały ale rozczochrany i podrapany jak gdyby łaził gdzieś po gęstwinach i zaroślach. W istocie o kilkadziesiąt kroków od domu rozciągał się las dość gęsty tam to młodzi chłopcy przebywali prawie po całych dniach, a skoro ktoś z gości przybył do Hołoskowie, co zdarzało się bardzo rzadko, uciekali tam natychmiast, kryjąc się w gąszczach jak zające. Trzej z nich byli już w szkołach a mianowicie: Miecio, Antoś i Józio, dwaj zaś najmłodsi; Jaś i Staś chowali się jeszcze w domu.

Staś przyszedł do obiadu z okiem podbitym, co widząc ojciec, zapytał:

— Z kimże to już się biłeś, ty zawadyaku?

— To nic, proszę tatki, spadłem tylko z czereśni.

— Kiedyś jeszcze sobie kark skręcisz napewno — mruknął pan Wilczewski.

A zwracając się do Janki dodał z lekkim uśmiechem, który chwilowo rozjaśnił jego twarz pochmurną.

— Pewnie tam u was w Warszawie niema takiej tatarskiej hordy, jak ta?

Chłopcy uśmiechali się, widocznie bardzo zadowoleni z tej nazwy, nadanej im przez ojca.

Janka zauważyła, że ciotka w czasie obiadu nabierała każdej potrawy na talerz i mówiła do jednego z dzieci:

— Zanieś to babci!

A skoro jej zapytała o to, odrzekła:

— Jest to staruszka, daleka krewna mego męża, która mieszka w ofiynie, a że jest słabą i nie może przychodzić na obiad, więc jej się noszą potrawy do mieszkania. Przed wieczorem pójdziemy do niej raz, żeby cię poznała.

Skoro wszyscy wstali od stołu, Janka poszła natychmiast na górę i zajęła się układaniem rzeczy w szafie. Dawniej zwykle spełniała to służąca, ale tutaj dziewczyna usługująca była tak zajęta, że nie miała czasu, a zresztą Janka zabrała się do tej roboty z nudów, gdyż widziała, iż wszyscy w domu są zapracowani i nie mogą jej bawić. Wprawdzie niezbyt się o to gniewała, bo nie wiedziała sama o czemu mogła mówić z tymi zdziwczymi wieśniakami, jak nazywała w duchu rodzinę ciotki. Porozkładała więc na stoliku pudełeczka i flakony z perfumami, przywiezione z Warszawy, oraz różne inne ozdobne graczki jak: fotografie,

szkatułki i t. d. ale gdy skończyła porządkowanie, znów ją nudy ogarniać zaczęły. Z początku próbowała rozerwać się myślami o tem, co robią w tej chwili jej przyjaciółki warszawskie, ale to nie na długo jej wystarczyło, zeszła więc na dół.

Dwór był obszerny, ale w dość zaniedbanym stanie; widać było, że mieszkali tu ludzie, którzy bynajmniej się nie troszczyli o stronę estetyczną. Nieporządku wprawdzie nigdzie spostrzedz się nie dało, ale też żadnych, choćby najwykleszych ozdób nie było. Janka błądząc po domu nie spotkała żywego ducha, widocznie wszyscy byli w polu, w ogrodzie lub w lesie. Zaszła do salonu, widocznie rzadko kiedy otwieranego bo na meblach znajdowała się warstwa kurzu. W kącie pod oknem stał fortepian, na widok którego Janka krzyknęła z radości:

— Fortepian! Mój Boże, jakże się cieszę, przynajmniej będę mogła grywać na tej pustyni!

Natychmiast otworzyła instrument i wzięła kilka akordów. Fortepian choć stary, okazał się niezłym, i Janka była bardzo zadowolona ze swego odkrycia. Z pod jej palców popłynęły melodye Szopena i Moniuszki, gdyż muzyce oddawała się z zamiłowaniem i rzeczywiście grała ładnie. Powiedziała sobie, że odtąd będzie codziennie poświęcać kilka godzin muzyce i cieszyła się, że nikt jej nie będzie przeszkadzał ani podsłuchiwał.

Przy kolacyi wszyscy jakoś byli rozmowniejsi; pan Wilczewski opowiadał ile dziś objechał pola, Wladek nawet parę razy coś się odezwał, lecz wszystko o przedmiotach dla Janki wcale nie zajmujących, więc też siedziała, z trudnością powstrzymując ziewanie, gdy nagle ciotka się odezwała:

— Kto to otworzył fortepian i tak go zostawił? Czy to wy, chłopcy?

— To ja ciociu — odrzekła Janka rumieniąc się — grałam trochę...

— Ależ to nic nie szkodzi — odparła szybko ciotka — możesz grać ile ci się podoba, tylko pamiętaj, kochanko zawsze zamknąć później fortepian, bo nasze ukraińskie kurze okropnie wszystko niszczą...

— Więc Janka gra, a może i śpiewa także? — ozwał się pan Wilczewski.

— Trochę — odrzekła Janka.

— A będziesz nam śpiewała czasem wieczorami? — zapytał pan Wilczewski, któremu twarz się rozjaśniła.

— Proszę cię, Janeczko, zrób czasem tę przyjemność memu mężowi, on tak lubi muzykę, a zwłaszcza śpiew — rzekła ciotka.

Janka musiała przyrzec, że będzie śpiewała.

— Nie poszłam dziś z tobą do babci, bo musiałam dopilnować pielenia w ogrodzie — rzekła ciotka po chwili — ale jutro pójdziemy koniecznie, to bardzo zaena i miła staruszka.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Stara kołęda (z ryc.) — St. Kramsztyk, Pod śniegiem i pod lodem. — Król migdałowy, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia p. E. L. — Pałac Seldżuków (z ryc.) — Gordon Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego przekład K. P. (z ryc.) — Marya Łopuszańska, Na pustyni. — Dodatek: Ptaszki pod stodołą, wiersz p. *** — Pogadanka z wujaszkiem. — Spełnione postanowienie przez K. Ślósarską. — Bracia jaszczurkowie. — Łamigłówni. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Вapиpавa 23 Дeкaбpя 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.